Paulina Czernek-Pasierbek

Huśtawka mojego taty



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawca dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawca nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra
Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Krucjata
Korekta: Anna Smutkiewicz
Projekt okładki inspirowany twórczością Gustava Klimta: Nina Janicka @literackielicho.

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 230 98 63
WWW: *wydawnictwosploty.pl*

ISBN: 978-83-289-4271-4
Copyright © Paulina Czernek-Pasierbek 2027

Printed in Poland.

• Kup książkę
• Poleć książkę
• Oceń książkę

• Księgarnia internetowa
• Lubię to! » Nasza społeczność

Od autorki

Droga osobo czytająca,
akcja powieści toczy się w latach 1906 – 1925. Jest to fikcja literacka, a bohaterowie oraz wydarzenia w znacznej większości są wytworami mojej wyobraźni. Dołożyłam jednak wszelkich starań, by z należytym szacunkiem oddać klimat epoki i zachować wiarygodność przedstawionych wydarzeń.

W powieści wielokrotnie pojawiają się sceny różnych istotnych dla tamtych lat wydarzeń artystycznych (m.in. Salon d'Automne, Salon des indépendants, Salon de Paris, Die Münchener Jahresausstellung, Internationale Kunst-Ausstellung des Vereins bildender Künstler Münchens „Secession"). Część z nich rzeczywiście odbyła się w takim kształcie, w jakim została opisana, część jest wyłącznie moją, intencjonalną koncepcją artystyczną inspirowaną prawdziwymi wydarzeniami. Obrazy pojawiające się na opisywanych wystawach (choć wówczas istniejące i mające duże znaczenie dla popularnych mód i kierunków w sztuce) nie zawsze pokrywają się z rzeczywistymi, zachowanymi w archiwach katalogami. Jeżeli jesteś nimi zaciekawionx, na końcu powieści umieszczę linki do stron archiwalnych, z których korzystałam podczas tworzenia.

Z szacunku do Ciebie chcę także zaznaczyć, że w powieści znajdują się przekleństwa, opisy seksu, a także różnego rodzaju treści potencjalnie triggerujące, takie jak: samookaleczanie, samobójstwo, homofobia, rasizm i antysemityzm, żałoba, alkoholizm, narkotyki, przemoc (fizyczna, psychiczna, ekonomiczna oraz seksualna), morderstwa, wojna, gwałt.

Jeżeli budzi to Twój niepokój lub okazuje się dla Ciebie trudne, zachowaj ostrożność. Pamiętaj, że Twój komfort psychiczny jest zawsze najważniejszy.

Odważnej i mądrej lektury!

Paulina

Kup książkę Poleć książkę

Dla wszystkich, którym To Coś łasi się przy kostkach.
Dla wszystkich, którzy są przewlekle chorzy na ambicję.
Dla wszystkich, którzy nie zdejmują rękawiczek.
Dla wszystkich, którzy są jedynie sezonową sensacją.
Dla wszystkich, którzy uparcie w życiu ćwiczą amnezję.
Dla wszystkich, których życie jest ciągłym przywykaniem.
Dla wszystkich, którzy potrafią zagrać Etiudę Rewolucyjną.
Dla wszystkich, którzy zawsze są „zbyt" i „za".
Dla wszystkich, którym wymagania kneblowały gardło.
I dla wszystkich, którzy żyją dla zasad, zamiast żyć tak po prostu.

Kup książkę Poleć książkę

I

My existence is a scandal.

Oscar Wilde

Czy ja wiem, czy to była miłość? Może być, że mi się zdawało, że kocham. Nie chcę stawiać teorii, co jest miłością, a co nią nie jest, ale zdaje mi się, że w każdej miłości musi być duma, królewska pewność siebie i tej istoty, którą się kocha, a tę pewność uczułem jedynie przy tobie.

Stanisław Przybyszewski, *Śnieg*

Kup książkę Poleć książkę

Kup książkę

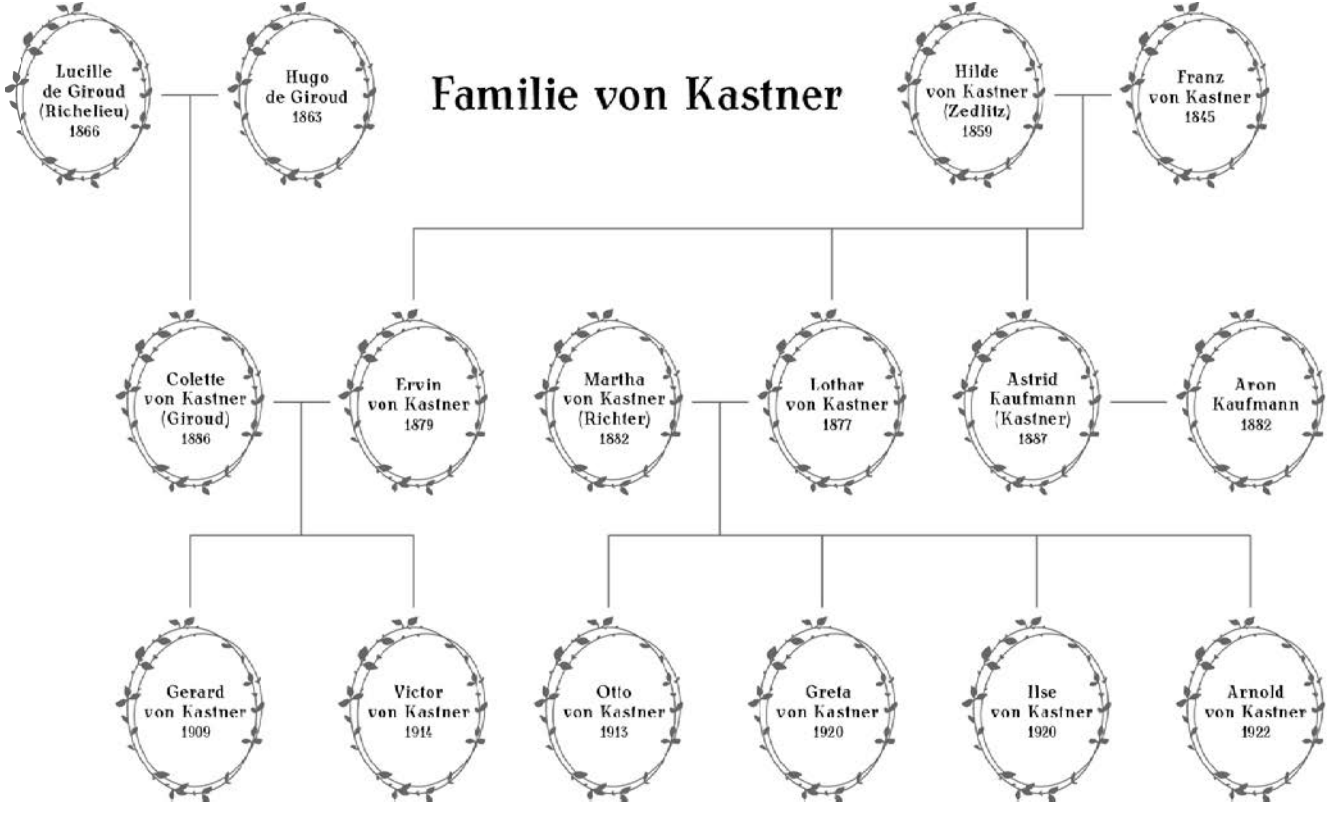

Poleć książkę

Rozdział 1.

Bez przesady

Colette

Paryż, 10 czerwca 1906

Kobiety muszą oddychać po cichu.

Nie zostawiać po sobie śladu w przestrzeni.

Jeżeli nieco głośniej zaczerpnę powietrza, profesor usłyszy. Wtedy koniec. Uzna mnie za taką, co to nie umie się powstrzymać przed marnym świstem płytkich tchnień, kiedy on rozdziela karty szans i rozkłada pomyślne taroty naszych żyć. Mogę na kilka chwil zdusić człowieczość. Mogę na kilka chwil skruszyć fizyczność. Mogę na kilka chwil tętnić poza ciałem.

*

Paryż, 1906

Profesor Fernand Cormon się nachyla. Czuję jego cienistą obecność.

– Panno Giroud, te pani obrazy to doprawdy jakaś niepojęta papranina poprzetykana złotem tam, gdzie nie trzeba. – Wzdycha i od niechcenia muska opuszką brzeg mojej palety.

– Och, kiedy mnie się wydaje, panie profesorze, że właśnie tak trzeba. – Zmuszam pędzel do posłuszeństwa i kładę eteryczny cień…?

– To całe art nouveau *jest takie pretensjonalne…*

– Nietuzinkowe. – Złocę subtelnie brzeg tęczówki portretowanej postaci.

– A gdyby tak pani spróbowała normalnie? Po akademicku? Byłoby dużo lepiej! – Pochyla się jeszcze bardziej nad moim płótnem. Zaraz mi wepchnie w nie wąs, jak tak będzie napierał. – Mnie pani nie oszuka. Ja widziałem, co

Kup książkę Poleć książkę

pani potrafi. Kobiety, kiedy tylko się należycie postarają, to umieją czasami nawet nie gorzej niż mężczyźni! – To chyba miało być miłe. – Taka na przykład Bilińska. Powinna pani brać przykład z tej Polki, Giroud!

– Kiedy realizm to zupełnie nie dla mnie…

– Gdyby pani nie była taka uparta, to cały Paryż by się już dziś kłaniał Colette de Giroud! A ja… kto wie? Może i bym panią nawet dopuścił do wielkich płócien? – Zerka na mnie uważnie. Wie, że to już przekupstwo. Ja się nie dam. Nie tak łatwo. – Bo czy trzeba koniecznie robić tyle zamieszania? Jak ten cały Klimt, Mucha? – Wsłuchuję się w jego lekką chrypkę. Niby profesorowi w głosie pogrywa pogarda, ale jakaś taka… bezzasadna. – Gdyby mnie pani posłuchała, to szepnąłbym słowo zielonym frakom i by panienkę wystawili na Salonie[1]*. Z tą intuicją to może nawet byłby medal? Bo czy musi pani koniecznie tak wszystko na przekór?*

– Och, mój ulubiony profesor zwykł czasami w sekrecie mawiać, że właśnie o tę przekorę tak po prawdzie chodzi w sztuce! – pozwalam sobie na lekką uszczypliwość, przecierając dłonie ściereczką. Cormon wzdycha i przewraca oczami. – Pan przecież wie, że lubię tę swoją… „niepojętą papraninę poprzetykaną złotem tam, gdzie nie trzeba". Bo widzi pan, profesorze, mnie się właśnie wydaje, że dokładnie tam trzeba.

Cormon grozi mi lekko palcem, ale ja widzę, jak jego wąs walczy z uśmiechem satysfakcji pchającym mu się na usta.

*

[1] Pojęcie odnosi się do Salonu Paryskiego (fr. Salon de Paris). Francuski rynek sztuki kształtował się już od XVII w., kiedy zainicjowany został tzw. Salon. Była to cykliczna (wiosenna) wystawa czasowa, mająca absolutnie dominującą pozycję w życiu artystycznym ówczesnej Europy. Salon jednak prezentował i nagradzał głównie sztukę akademicką, co skutkowało bagatelizowaniem, niedopuszczaniem i niedocenianiem prac nowatorskich i przełamujących zastany porządek rzeczy. Pod koniec XIX w. sytuacja zaczęła ulegać zmianie i Salon powoli tracił swój monopol. W 1884 r. odbył się pierwszy Salon Niezależnych (fr. Salon des indépendants), a w 1903 Salon Jesienny (fr. Salon d'Automne), na którym w 1905 r. zaprezentowali się fowiści, a w 1910 kubiści.

Kup książkę Poleć książkę

Tyle że teraz profesor Cormon na mnie patrzy i ten wąs jest nieporuszony.

– *Monsieur*[2] Dubois – mówi wreszcie.

Matthieu blednie. Wygląda jak gesso[3]. Opuszcza głowę. Ogląda swoje buty. Jemu się należało bardziej niż komukolwiek innemu na tej sali. Matthieu potrafi tak uporządkować kompozycję, że nie sposób oderwać wzroku. Nie mam pojęcia, jak to robi, ale czasami aż by się chciało zrzucić profesorów z katedry i wepchnąć go na ich miejsce. Jego pierwszego dopuszczą do wielkich płócien, bo się na nich nie pogubi. Może Matthieu mógłby kiedyś otworzyć własną szkołę? Académie Dubois brzmiałoby spektakularnie.

– *Monsieur* Moreau. – Profesor podaje kolejne nazwisko.

Claude wydaje z siebie przeciągły pisk. Jest perfekcyjny. To pieczołowitość z rodzaju tych, na które aż przykro czasami patrzeć. Jego obrazy można by przekopiować do podręczników i serwować jako przykłady starannie wykonanych zadań. Brak polotu, finezji. Nie dziwota, czemu mówią o nas, że jesteśmy produktem fabryki miernot, skoro wszyscy malujemy tak samo.

– *Monsieur* Foix. – Cormon wyznacza kolejną osobę.

Jacques szczerzy krzywe zęby. Trzeba przyznać, że potrafi tak przemalować Santiego, że sam Rafael by się nie rozeznał. Foix jest ohydnie pewny siebie. On i Ophélie muszą się od siebie trzymać z daleka, bo moja przyjaciółka staje się przy nim zapalna jak sucha słoma. Bez wątpienia nastąpi ten dzień, kiedy wydrapie mu oczy. Foix dobrze o tym wie i robi wszystko, żeby ją sprowokować do publicznej kłótni. Gdyby wywołała skandal, natychmiast by się jej pozbyli z uczelni za histeryczny, kobiecy brak ogłady. Wtedy Jacques miałby święty spokój, a jego świat wróciłby na właściwe tory. Bo kiedy Ophy żywo opowiada o ostatnim mityngu feministycznym, to Jacques jest bliski apopleksji. Nadejdzie taki dzień, w którym on c o ś powie. Wtedy Ophélie nie wytrzyma. Wtedy ją wyrzucą. Wtedy ja wypatroszę Jacques'a. Wtedy mnie też wyrzucą…

– Tyle – kończy Cormon.

---

[2] *monsieur* (fr.) – pan

[3] Gesso (zwany gruntem malarskim) to specjalna biała farba podkładowa (przyp. red.).

Kup książkę Poleć książkę

Sala cicho skwierczy od męskich wzdychań, jęków, prychnięć. Zwitka moich cichych, tłamszonych tchnień się rozpręża. Zazdrosny żal wyciekający z rozbitych nadziei sączy się po nerwach. Patrzę w stronę Ophélie. Wbija oczy w Cormona, jakby chciała przyszpilić trzepoczącego motyla. Świdruje spojrzeniem jego czaszkę, trepanuje ją, doszukując się powodów, dla których ten wąsacz okazał się jednak tak ograniczony, choć nam się zdawało, że akurat on… że…

Nieistotne.

Do Monachium jesienią jadą ci, którzy umieją wykonywać polecenia. Bo świat ceni sobie ludzi pokornych, niewłóczących za sobą chaosu trącającego może nieco stęchły, ale bezpieczny porządek rzeczy.

„École des beaux-arts[4] jest przecież nowoczesna! No tak czy nie?!"

No tak! Oczywiście! Jasna sprawa! Przecież kilka lat temu panowie zgodnie uradzili, że możemy ewentualnie się snuć wśród nich w cieniach cichości. Że możemy polizać smakowitości ich barwnego świata, ale tak, żebyśmy się nie przeżarły. Bo gdzie z tym głodem wiedzy?! Gdzie z zębami doświadczania?! Tylko kąsek. Okruszyna. Dość. Bo niezdrowo.

„Colie, nie zapędzaj się tak, kochanieńka, złość piękności szkodzi!"

„Colie, nie unoś się tak, bo jeszcze cię, złotko, złapie histeria…"

„Colie, słońce, a czy ty wiesz, że jesteś urocza, jak się denerwujesz?"

Nie ma co się oburzać, że panowie dbają o naszą moralność, prawda?

Może nie wygrywamy w prestiżowych konkursach, ale znowu bez przesady. Nie można mieć wszystkiego. Po co kobiecie Prix de Rome[5]? Może nie pozwalają nam malować nagich mężczyzn, ale znowu bez przesady. Jeszcze by nas zgorszyły te widoki wyprężonych nagich ciał i zostałybyśmy zwiedzione na pokuszenie. To, że chłopcy się czasami

---

[4] École des beaux-arts (fr.) to inaczej Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Pięknych (pełna nazwa: École nationale supérieure des beaux-arts de Paris).

[5] Prix de Rome to francuska nagroda stypendialna przyznawana wybitnym młodym artystom. Kobiety mogły ją teoretycznie otrzymywać od 1903 r., ale samo prawo do udziału nie oznaczało natychmiastowej wygranej. Pierwszą kobietą, która zdobyła Prix de Rome (w kategorii rzeźba), była Lucienne Heuvelmans w 1911 r. Na zwyciężczynię w kategorii malarstwo trzeba było czekać najdłużej – dopiero w 1925 r. główną nagrodę wywalczyła Odette Pauvert. Decyzja z 1903 r. otworzyła drzwi, ale przejście przez nie i rozbicie szklanego sufitu zajęło artystkom kolejne lata ciężkiej pracy i walki z uprzedzeniami.

Kup książkę Poleć książkę

prześpią z jakąś pozującą im *gigolette*[6], to jest zupełnie, zupełnie inna sprawa. Może ja zawsze muszę przychodzić na zajęcia perfekcyjnie ubrana i uczesana, żeby być traktowana poważnie, podczas kiedy mój kolega może wejść, ciągle śmierdząc absyntem, ale znowu bez przesady. Panowie zwyczajnie dbają o to, by naszych czystych dusz nie pochłonęło piekło namiętności i zgubnych rządz *belle époque*[7]!

No więc bez przesady!

Trzymiesięczny pobyt w Monachium miał być nagrodą dla najlepszych, najzdolniejszych, najbardziej pracowitych. Szkoła Moritza Heymanna nie przyjmie na warsztaty byle kogo…

Opadam bez sił na krzesło. Patrzę w stronę okna. Splatam swoje spojrzenie z nitkami postrzępionych chmur. Piękne dziś mamy światło. Już się nie przejmuję swoim bezczelnym głośnym tchnieniem. Czego my się spodziewałyśmy? Że z grona tych wszystkich ludzi, którzy usłużnie i szybko umieją zrobić to, co im się zaleca, Cormon wskaże akurat nas?

Bo co?

Bo się raz czy dwa dłużej przypatrywał, jak mieszam te moje secesyjne złotka? Bo powiedział, że moje linie są intrygujące? Bo uznał, że aż trudno uwierzyć, że moje obrazy to rzeczywiście na płótnie, a nie na szkle?

Bo z jakimś zacięciem na twarzy pytał Ophy, dlaczego akurat litografia? I dlaczego akwaforta? I dlaczego to jest wszystko u niej takie jakieś niekształtne, nierealistyczne, jakby malowała koszmary?

– A panienki Fleurmont i Giroud, mam nadzieję, będą zadowolone z towarzystwa kolegów tradycjonalistów w podróży. – Chrypliwy głos profesora tłumi studencką wrzawę. – Uznałem, że miejsce u Heymanna pań nie zainteresuje. Za to Debschitz-Schule mogłoby być ciekawym doświadczeniem, nieprawdaż? – Patrzę na Ophy. Usłyszałam to? Czy już mi się absolutnie wszystko pomieszało? Przyjaciółka jest blada, jakby się wytarzała w gruncie. – Proszę wykorzystać należycie tę szansę. Cała piątka. Oczekuję po powrocie teczek. Dobrych teczek. Tylko błagam państwa, nie pozabijajcie się w tym Monachium. Szkoda by było, żeby nam się takie talenty pomarnowały.

---

[6] *gigolette* (fr.) – kobieta lekkich obyczajów

[7] *Belle époque* (fr.) – piękna epoka, okres w historii Europy na przełomie XIX i XX w.

Kup książkę Poleć książkę

Rozdział 2.

Taka cena

Albert

Monachium, 10 czerwca 1906

Szpital śmierdzi jak skruszone cegły.

Zawaliła się kamienica. Wszystkich do nas zwieźli. Jesteśmy najbliżej.

Ludzie skowyczą. Jęczą. Wyją. Wszędzie krew. Siostry ślizgają się po posadzce.

Kolejna godzina.

Przystaję. Rozglądam się.

Ervin kiwa głową na tę nową pielęgniarkę Lottie. Przywołuje ją do siebie. Macha dłońmi wokół rozłupanej głowy jakiegoś mężczyzny. Coś jej tłumaczy. Ona zaprzecza.

Rozumie?

Rozumie.

Kolejna noc bez zmrużenia oka. Widzę czarne plamy. Jakbym miał tyfus w spojrzeniu.

Nie możemy sobie pójść. Nie możemy być zmęczeni. Obserwują nas. Sprawdzają, czy się nadajemy. Skoro nie radzimy sobie przy jednym wypadku, to gdzie my się pchamy?! Co my sobie myślimy?! Że będzie prestiż?! Że sielanka?! Do roboty! Nikt nas prosił nie będzie!

Ervin woła. Mówi, że trzeba tu nastawić ramię. Czy przychwycę? Ocieram pot z czoła. No przychwycę.

Lottie pyta pacjenta, czy może chciałby w coś wbić zęby? Bo Ervin będzie mu teraz wbijał w staw kości. Że możemy podać znieczulenie, ale… No czasu trochę brak. Że to może być w konsekwencji nieco nieprzyjemne. Tamten, że nie. Że bez chloroformu. Że on da radę. To tylko kość, nie? No. Żeby go chwyciła za dłoń.

Kup książkę Poleć książkę

Trzymam pacjenta. Ervin nie czeka. Szarpie. Chrup. Kości się nastawiają. Facet szarzeje. Mdleje. Pielęgniarka ledwo może poruszyć dłonią zmiażdżoną przed chwilą w uścisku.

Kiedy ostatnio coś jedliśmy?

Chwytam za bandaże. Owijam głowę dziecku. Jest całe posmarkane. Chlipta. Zgubiło się. Boi się. I gdzie jego mama? Gdzie mama?

Dalej. Trzeba dalej.

Wydłubuję nieprzytomnemu staruszkowi kawałki potłuczonej szyby z twarzy, szyi. Nogi mi się chyboczą jak rozklekotany taboret w lekarskim.

Ervin przemyka wśród pokiereszowanych.

Ervin ma jasność w spojrzeniu.

Ervin jest zwinny jak wprawny cyrkowiec.

Ervin nie wzdycha.

Ervin się nie zastanawia.

Ervin nie jest zmęczony.

Ervin jest…

A.

No tak.

Rzucam wszystko. Podchodzę do niego. Jesteśmy blisko okna. Kastner kuca nad kimś rozłożonym na prowizorycznym cienkim posłaniu. Grzebie w rozharatanym ramieniu, z którego raczej nic już nie będzie.

– Zasłaniasz mi światło, Ziedler. – Macha na mnie, jakby chciał odgonić natrętną muchę.

Chwytam go za gębę. Jego skalpel uderza o białe, upstrzone krwią kafelki. Odwracam mu głowę w stronę okna. Mruży oczy. Czarniuteńkie.

– Nie dotykaj mnie! – Zrywa się na równe nogi. Zdziera z siebie okulary i przeciera nerwowo powieki. – Przez ciebie spadł mi skalpel! – Rozgląda się nerwowo. – Oszalałeś? Chcesz, żeby mnie wywalili za amatorszczyznę?!

– Masz jeszcze?

– Dobrze wiesz, żeby mnie nie dotykać! Ile razy ci można powtarzać?

– Daj mi.

– Co?

Wyciera dłonie w kitel. Umyka wzrokiem.

On tu siedzi tak jak ja.

Nocą i dniem.

Kup książkę Poleć książkę

Od poniedziałku do niedzieli.

Od stycznia do grudnia.

Od tylu lat dzień w dzień.

Bo jesteśmy najlepsi. Nie ma miejsca na porażkę. Dziś kamienica, jutro wyrostek, a pojutrze ktoś się rzuci z dachu. Między tym uczelnia i wrzask profesorów, co nas nazywają nierozumnym ścierwem. Nie ma miejsca na zmęczenie. Bo taki zawód. Bo tak wybraliśmy. Bo jedna słabość i koniec!

Taka cena.

– Kastner, daj mi trochę.

– Nie mam.

– Ervin, proszę, ja…

Rozgląda się płochliwie po sali. Sięga do kieszeni. Przepycha mi zawiniątko. Chwilę później mnie pali cały nos, głowa. Ale mam siłę. Mogę być najlepszy.

Taka cena…

Kup książkę Poleć książkę

Rozdział 3.

Każdy głupi

Astrid

Monachium, 8 września 1906

Każdego dnia przełykam rano chleb, który staje mi w gardle, jakby nagle wysychał, pęczniał. Żadna herbata nie jest zdolna go przepchnąć. Jeśli ktoś odwróci kiedyś stół, zobaczy, że na spodzie blatu, w miejscu, przy którym zwykłam siadać, są ślady od drapania.

W domu na Nymphenburger Straße można czuć się bardzo bezpiecznie. Tam od dziesiątków lat nic się nie zmienia. Ani dźwięki, ani zapachy, ani przekonania. Wszystko śmierdzi strachem i naftaliną. Moglibyśmy, jedno po drugim, zdechnąć na środku salonu, ale mole by nas nie tknęły. To nam trzeba przyznać – umiemy zabezpieczyć rodowe dobra przed zniszczeniami. Tylko one się zawsze liczyły. I jeszcze cisza, bo w niej pięknie brzmiało, jak brzdękały srebra, dźwięczały kryształy i tupotały oficerki. W tej głuszy tak się chlubnie zawsze niósł huk dłoni ojca walącej w stół, gdy któreś z nas zbyt głośno przełykało. Taki bezpieczny rodzinny dom. Zawsze wiesz, czego możesz oczekiwać.

Mnie nie dziwi, że Ervin wybrał Georgenstraße. Jest na tyle daleko od Nymphenburgu, że nie dotyczy go już przypadkowe napotkanie znajomego spojrzenia. Nie martwi się codziennym wdychaniem tego zatęchłego smrodu dobrej sławy i szlachetnego nazwiska naszej jakże chlubnej Familie von Kastner. Uciekł od nas i chwała mu za to, bo on jeden miał odwagę, żeby odwrócić głowę i spojrzeć w innym kierunku niż ten, który wyznaczała rodowa krew.

Tylko że teraz Ervin jest sam. I u niego jest… jeszcze ciszej.

Gosposia brata wprowadza mnie do salonu, kłania się uprzejmie i bezszelestnie umyka. Ervin leży na wzorzystym dywanie pośrodku pokoju w rozchełstanej koszuli. Nogi ma wywalone na sofę, jakby chciał

Kup książkę Poleć książkę

się upewnić, że na pewno cała krew napłynie mu do mózgu. I tak szczerze mówiąc, to trochę wygląda, jakby go uderzył piorun.

Zerka na mnie z ukosa, wzdycha i kładzie sobie na twarzy otwarte *Gray's Anatomy*. Siadam przy nim. Nic nie mówi, ale czuję na swojej dłoni jego zimne, lekkie palce. Tak na chwilkę. Wystarczy. Ervin ma tak piękne ręce, że niejeden pianista by mu ich pozazdrościł. Gdyby go dopadli jacyś malarze, to można by się poważnie bać, że by mu te dłonie oderżnęli i prezentowali całemu światu jako przykład idealnych proporcji. Taki człowiek witruwiański, tylko w szczególe.

Sięgam po przepotężny podręcznik anatomii. Przez chwilkę przypatruję się twarzy brata. Czy przypadkiem to tomiszcze nie zmiażdżyło mu okularów i nosa? No nosa może nie, ale Ervin ostatnio bardzo schudł. Wygląda, jakby nie spał od tygodnia. Te wszystkie rachityczne, kanciaste zakrzywienia jego rysów jeszcze mocniej się zacieniły, wyostrzyły. Lubię gry światła. To pięknie wygląda na fotografii. Ale teraz…

– Kiedy ostatnio coś jadłeś?

Krzywi się, jakbym mu wepchnęła pod nos Leberknödel[8].

– Coś tam jadłem… – Przeciera przekrwione oczy.

– Kiedy?

– Tridy…

– Co Tridy?!

Gdybym nie przyszła, pewnie znów uczyłby się pół nocy.

Bo przecież…

Może więcej.

Może lepiej.

Może bez granic.

Co to dla niego?

– Matka cię przysłała, żebyś skontrolowała, jak się miewa wyrodny syn?

– Gdyby mnie przysłała matka, musiałbyś rzeczywiście do nas wpaść z wizytą. Zapewne z jej zdrowiem byłoby coś nie w porządku, gdyby się w niej obudziły jakieś odruchy rodzicielskie.

– Pytam poważnie, Tridy. Po co przyszłaś? Mam teraz sporo nauki i się trochę nie wyspałem. Ale niedługo to się już skończy i…

– Ervin, ty od kilku lat mówisz, że to się już niedługo skończy!

---

[8] *Leberknödel* (niem.) – knedle wątrobiane

Kup książkę Poleć książkę

*

Monachium, 1904

Zerkam w stronę dyplomu lekarskiego, który Ervin mnie w dłoni jak śmieć. W drugiej trzyma złoconą ramkę, którą chwilę temu przyniosłam.

I tak patrzy. Raz na ten dyplom. Raz na tę ramkę. Raz na stół, gdzie położyłam młotek i gwóźdź. Wreszcie na mnie.

– I co mam z tym zrobić? Powiesić sobie nad kominkiem? – prycha, jakby to był zupełnie niedorzeczny pomysł.

– Właśnie tak, Ervin. Właśnie to powinieneś zrobić!

– Tridy, każdy głupi może skończyć studia, dajże spokój…

Patrzy w tę pustą ścianę. I wiem, że to nie są jego słowa, tylko matki, która tak mu właśnie powiedziała. A ten uwierzył, że to on jest ten każdy głupi, choć był najlepszy na roku.

– Dawaj to! – Wyrywam mu z rąk tę nieszczęsną ramkę. Łapię w garść młotek.

– A ty, siostruniu, wbijałaś kiedyś gwoździe? – Unosi z politowaniem brew, oceniając mój chwyt, pozostawiający raczej wiele do życzenia.

– Nie! I ty też nie! Więc się nie wymądrzaj!

Ostrożnie, żeby niczego nie uszkodzić, kładę na szkle piękny, zdobny dyplom z wyróżnieniem, dla którego Ervin prawie wypruł sobie żyły.

– To ma tu wisieć, rozumiesz?!

Patrzy na mnie bezradnie, kiedy wspinam się na krzesło, żeby samodzielnie przybić gwóźdź.

– To źle, że jestem z ciebie dumna? To źle, że chcę, żebyś ty też był?

Odkręcam się do niego. Takiego bladego, rozczarowanego, zawstydzonego, z opuszczonymi bezradnie rękami i goryczą w oczach. Ervin ma spojrzenie jak żywica. Smutne, jakby mu wiecznie było czegoś żal.

– Będę samodzielnym chirurgiem, to się zastanowię, czy warto tak sobie zdobić ściany, co? Jak już Winckler podpisze mi poświadczenie specjalizacyjne, to wtedy nawet sobie sam kupię taką oto… – przekrzywia lekko głowę – tandetną rameczkę. Obiecuję. A teraz to… no przecież to rzeczywiście jeszcze nic wielkiego.

Stukam młotkiem po jego ścianie. Stukam wbrew mojemu bratu, który uważa, że jest każdy głupi. Wieszam jego dyplom tak, żeby mu zrobić miejsce na całą kolekcję wybitnych świadectw, choć…

Kup książkę Poleć książkę

Choć już przecież dziś oboje dobrze wiemy, że kolejny certyfikat niczego w nim nie zmieni. Tylko tak sobie właśnie wiecznie składamy obietnice nieprawdy na przyszłe czasy.

Ervin zawsze będzie każdy głupi, bo…

Małym wystarczają małe dzieje,
Wśród wielkich małość olbrzymieje[9].

*

– Przyszłam zapytać o wystawę. Przyjdziesz? – Obejmuję ramionami kolana. Zimno tu u niego, choć ogień tli się w kominku.

Ervin się podnosi i siada tak samo jak ja. Też się zwija w taki dziwny, pokurczony kłębek. Lothar zawsze się z nas śmiał, że siedzimy jak jakieś zniekształcone embriony.

– Krucho z czasem… – W oczach błyska mu żal skotłowany z poczuciem winy, że znowu zawodzi. – W tym tygodniu mam asystować przy trzech ważnych operacjach profesora Wincklera, wiesz? On ciągle na mnie patrzy. Mówi, że zaskakująco to dobrze idzie. Że może jakoś przyspieszymy z tym poświadczeniem specjalizacyjnym. Nie chciałbym go rozczarować i… – Ucieka wzrokiem.

– Proszę cię, Ervin. Tak cię proszę! – Przysuwam się ku niemu pokracznie. Słyszę, jak głęboko wzdycha. – Znowu mam być sama?

– A co z Aronem? Będzie?

– Będzie. Oczywiście, że będzie. Ale wiesz, że to nie o niego mi chodzi.

– Zaprosiłaś matkę? – Przekrzywia kark. Coś w nim niepokojąco chrupie.

– A jak myślisz?

– Może to lepiej, że nie. Po co ma ci psuć dzień? – wzdycha. – A Lothara?

– Zaproponowałam, żeby przyszedł. Spojrzał na mnie, jakbym się puściła i oznajmiła, że będę miała nieślubnego bękarta.

– Chryste… Dalibyście już spokój. – Przewraca oczami. – Nie jesteście za starzy na takie głupie sprzeczki?

[9] J.W. Goethe, *Faust*, tłum. E. Zegadłowicz.

Kup książkę Poleć książkę

– Jemu to powiedz! Według Lothara artystka w rodzinie to jeszcze gorzej niż wywłoka najwidoczniej. – Zerkam na zegar. – Jesteś sam? Mogę zdjąć? – Unoszę nieco dłoń.

– Możesz. Nikogo już nie ma. Helga właśnie wychodziła.

Zsuwam z dłoni rękawiczki. Ervin mimochodem zerka kontrolnie, jak się sprawy mają. Stan stabilny. Niezmiennie koszmarny.

– Gdzie ta twoja wystawa? I o której? – pyta, przenosząc wzrok na stos książek, z których można by układać wieżowce tak wielkie jak wieża Eiffla.

– Przy Königsplatz i… o czternastej.

– Rany boskie… W samym środku dnia?!

– No bo… chodzi o światło…

Ervin znowu pada na dywan. Zasłania dłońmi twarz i jęczy, jakbym mu powiedziała, że wystawa zaczyna się o trzeciej nad ranem. Tak by pewnie wolał. Zawsze się budził o nieludzkich porach. Kręci głową z niedowierzaniem, rozsuwając palce tak, że tylko oczy i szkiełka okularów mu się spomiędzy nich wyłaniają. Żałuję, że nie mam aparatu. To by było całkiem zabawne zdjęcie.

– A mogę przyjść z podręcznikiem?

– Możesz! Wszyscy wiedzą, że jesteś troszkę dziwak! – Klaszczę lekko. Bardzo chciałabym go teraz utulić.

– W końcu Kastnerowie robią wszystko dla rodzeństwa, czyż nie? – pyta z cierpiętniczym wyrazem twarzy, przecierając koszulą wypalcowane szkła okularów. – Zostaniesz dziś na noc? – Kiwam głową, bo przecież nie będę łazić nocą po Monachium sama. – No to wstawaj. – Podnosi się pokracznie. – Helga zostawiła mi kolację. Podzielę się z tobą, przybłędo. Rzeczywiście dość niegodny medyka taki niezdrowy, wygłodniały tryb życia…

Kup książkę Poleć książkę

Rozdział 4.

Porządkująca świat niemiecka golizna

Colette

Monachium, 9 września 1906

W uszach dźwięczą mi świst konduktorskich gwizdków i stukot kół ciężkich, czarnych lokomotyw leniwie wtaczających się na dworzec. Trzymam Ophélie za rękę, bo w hali odjazdowej panuje tak nieludzki tłok, że gdyby mi się wyślizgnęła, to już przenigdy byśmy się nie odnalazły.

Chryste, czemu tu są takie tłumy?

Dworzec tonie we wszechobecnych błękicie i bieli. Z potężnych łuków fasady zwisają ciężkie, powiewające na wietrze chorągwie, a zapach świeżego świerkowego igliwia z gigantycznych girland miesza się z dymem węglowym z parowozów. Śledzę wzrokiem imponujące kolumny, które podtrzymują strzelisty, industrialny sufit. Proste rzędy okien dachowych wpuszczają do wnętrza mnóstwo praktycznego, jasnego światła. Żelazne belki stropowe są ozdobione białymi, kulistymi lampami. Monachium już na pierwszy rzut oka otacza nas praktyczną surowością. Nasza wysublimowana elegancja poczciwego Gare du Nord raczej niewiele ma wspólnego z tym miejscem.

Nad naszymi głowami wisi ogromny herb Bawarii, podtrzymywany przez złote lwy. Nad głównym wejściem rozciągają się potężne, grube girlandy uplecione ze świeżych gałęzi świerkowych, poprzetykanych zmyślnie wstążką niczym ciasno zaplecione dziewczęce warkocze.

– Jak to się czyta? – mamrocze przerażony Claude, mrużąc oczy.

– München Hauptbahnhof – odpowiada spokojnie Matthieu.

– Znasz niemiecki?! – dziwi się Ophy.

– A wy nie? – Spogląda na nas zdziwiony, że się nie przygotowaliśmy skrupulatnie do naszej najistotniejszej w życiu podróży. – Oczywiście, że nie. O co ja pytam…

Kup książkę Poleć książkę

– Mówią tu po francusku, prawda? – Jacques prostuje plecy ścierpnięte po wielogodzinnej podróży. – Po co sobie zaprzątać głowę?

– A jak nie mówią? – płoszy się Matthieu.

– Wszyscy w Europie znają francuski, człowieku! – prycha Ophélie.

– Jak ktoś nie zna, to znaczy, że jest ograniczonym prostakiem. Z takimi nie ma co się wdawać w dyskusję! – dopowiada uradowany Claude.

Ophélie wyjmuje z torebki papierosa. Wtyka między wargi. Sięga po zapałki. Jakiś elegancki jegomość w gustownym meloniku hamuje przed nią i rozdziawia usta w szoku.

– *Was soll denn dieses Verhalten?! Ich rufe sofort die Polizei an, junge Dame!*[10] – Mierzy ją zgorszonym spojrzeniem, niemal się krztusząc.

– Proszę wybaczyć, ale ja pana nie rozumiem – mruczy przyjaciółka, wyjąwszy papierosa spomiędzy warg. – Mówi pan może po francusku?

– *Natürlich, eine Französin! Völlig ohne Moral!*[11] – Mężczyzna przewraca oczami i odchodzi, burcząc coś pod nosem. Patrzymy po sobie w szoku.

– Radziłbym ci to jednak schować, Fleurmont. – Matthieu wskazuje na papierosa Ophy. – Bo zanim dotrzesz na stancję, wylądujesz za kratami.

Przyjaciel podchodzi do wielkiej mapy dworca i z właściwą sobie uwagą studiuje nasze położenie. Staję u jego boku, żeby się przyjrzeć.

– Dlaczego wszędzie są te ich ozdoby? Trafiliśmy na jakieś lokalne święto? – pytam, śledząc wzrokiem gęstą plątaninę czerwonych i niebieskich szlaczków wyznaczających linie kolejowe.

– Ponoć mają tu teraz jakieś wielkie jubileuszowe obchody – mruczy skupiony Matt. – Wszędzie będą nieludzkie tłumy, Colie. Trzeba się modlić, żeby nas nie stratowano…

Chłopak rozgląda się wokół i wskazuje dłonią kierunek. Ruszamy. Po kilkunastu minutach mrówczej krzątaniny pod przewodem niezastąpionego Matthieu udaje nam się wreszcie wydostać na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza. Odwracam się ostrożnie, żeby przyjrzeć się budynkowi dworca.

---

[10] *Was soll denn dieses Verhalten?! Ich rufe sofort die Polizei an, junge Dame!* (niem.) – A cóż to za zachowanie?! Zaraz wezwę policję, młoda damo!

[11] *Natürlich, eine Französin! Völlig ohne Moral!* (niem.) – No oczywiście, że Francuzka! Kompletny brak moralności!

Kup książkę Poleć książkę

Skrupulatna. Taka właśnie wydaje mi się niemiecka architektura. Ophy i Claude zachwycają się prostotą geometryzmu form, wykalibrowaną do granic możliwości precyzyjną symetrią, ascetyzmem bryły budynku. Niemcy są bez wątpienia narodem wielbiącym praktyczny ład. Kiedy się rozglądam po placu, odnoszę niejasne wrażenie, że nawet tramwaje jeżdżą tutaj tak, żeby całe miasto przywodziło na myśl wielki, imponujący reszcie świata mechanizm, w którym nie ma nawet skrawka przestrzeni na spontaniczny błąd czy nieścisłość. Ciekawe.

– No to co, przyjaciele? Może byśmy zakosztowali jakiegoś lokalnego trunku?

Claude zaciera ręce, rozglądając się po okolicy. Poprawia ostrożnie modną fryzurę, coby odpowiednio zamanifestować swą posągową urodę i godny pozazdroszczenia szyk. Jakieś dziewczęta zawieszają na nim niewinnie wzrok. Moreau obdarza je swoim uśmiechem z serii „powalający z nóg".

– Nabrałem smaku na niemieckie delikatesy – szepcze do Ophy, wciąż wgapiony w młode damy, które płoszy jego paryska swoboda. Zawstydzone umykają pospiesznie w głąb budynku.

– Powinniśmy odpocząć po podróży – zauważa Matthieu.

– Na miłość boską! Zapomniałem już, jaka z ciebie się zrobiła pruderyjna maruda! Ta twoja Jeanne pozbawiła cię wszelkiej werwy! – Claude przewraca oczami. – Odprowadzimy grzecznie nasze panie na stancję, a później pójdziemy poszukać artystycznych inspiracji! Czyż nie tego chciał Cormon? Kazał nam „doświadczać"!

Mogłabym się założyć, że Claude przed przybyciem przygotował sobie potężny spis wszystkich lokalnych burdeli.

– Doprawdy nie musisz zaprzątać sobie nami głowy! – wtrącam łagodnie. – Zapewne już nie możesz się doczekać poszukiwań monachijskiego Jockey Clubu[12]? Jakoś postaramy się ruszyć naszymi niewieścimi umysłami. Może czytanie mapy nas nie przerośnie… – Przykładam sobie dramatycznie dłoń do czoła.

– Nie mogę was porzucić bez eskorty! Obiecałem Blaise'owi, że się tobą zaopiekuję! – Bezczelnie unosi brew. – Nie chciałbym wdać się z nim w bratobójczy spór, gdyby się okazało, że mi się tu rozhulałaś, aniołeczku.

[12] Jockey Club – paryski elitarny tradycyjny klub dżentelmenów.

Kup książkę Poleć książkę

– Och, jakiś ty szlachetny, Claude! To bardzo miło, że w ramach braterstwa troszczysz się o moją anielską niewinność, nim ruszysz na niemiecki żer w poszukiwaniu lokalnej odmiany syfilisu.

*

Paryż, 1904

O moje ramię gładkim, rozkosznym ramieniem
Wsparła się pani raz jedyny
(W głębi duszy posępnej nie blaknie wspomnienie
Tej jasnej, miłej mi godziny)[13].

Blaise jest inny. Niby naszkicowany w proporcjach przewidzianych przez tradycjonalistów, a jednocześnie trochę tak, jakby go wykańczali barwami bezczelni awangardziści. Wodzi uważnie wzrokiem po ściegach liter wszystkich moich ukochanych poematów. Pozostaje uważny na wszelkie tony moich ukochanych oper. Dostrzega każdą nową ozdobę w moich włosach, każde moje smutniejsze mrugnięcie. Wgryza się zachłannie w moje myśli, mości się bez pytania w progu moich uczuć. Blaise mnie zaboli, bo mnie i Vaubana łączy jakiś rodzaj duchowego zrozumienia skotłowanego z pożądliwością, które się niebezpiecznie chwieje na granicy przywiązania. A tego ostatniego żadne z nas sobie nie życzy.

Było późno: jak nowy medalion z daleka
Jarzyła się pełnia miesiąca
I nad uśpiony Paryż spływała jak rzeka
Dostojność nocy ciszą tchnąca.

Teraz życzenia są bez znaczenia, bo się zaplątaliśmy oboje w opiumowym błogostanie na rue Marbeuf. Blaise, rozłożony na mięciutkim materacu, podnosi na mnie czarne oczy. Odkłada szkicownik na niski stolik tuż przy fajce.

[13] Ch. Baudelaire, *Wyznanie*, tłum. J. Waczyków. (Wszystkie cytaty we fragmencie pochodzą z tego dzieła).

Kup książkę Poleć książkę

Zmysły mi się topią w bordowej toni wnętrza palarni, kiedy on do mnie podpełza na kolanach. Patrzy tak, jakby doświadczał mistycznego uniesienia. To nie jest pierwszy raz, kiedy czuję go tak przy sobie. Usta nam się już kilka razy poplątały. I dłonie też mu kilka razy zbłądziły. Zawsze jest w tym coś przypominającego przyjemny dreszcz wywołany przez chłód wiosennej rosy na skórze.

> Snuły się jeszcze koty z podcienia w podcienie,
> Przez bramy miejskie przechodziły
> Z uchem na czatach lub też, jak najdroższe cienie,
> Ospale nam towarzyszyły.

– Colette, pozwól mi się namalować – szepcze, kładąc wargi na moim czole. Przesuwam palcem po jego odsłoniętym nieznacznie obojczyku.

– Żadnych aktów. – Nawet w tym rozpłukanym błogostanie doskonale widzę wyraziste granice własnej moralności.

– Jeden. Błagam. – Wędruje spokojnie, żeby szeptać tuż przy moim uchu.

– Po tym jednym byłoby o ten jeden za późno…

– Postradam przez ciebie zmysły, ma fille en or[14]. *– Gdy zsuwa usta na moją szyję, z dłoni wysuwa mi się ołówek. – Tak by nam razem było dobrze, wszystkiego bym cię ostrożnie i powoli nauczył, gdybyś mi tylko pozwoliła, wiesz przecież…*

Tak już jest od jakiegoś czasu. Blaise raz w tygodniu obiecuje mi takie doznania, przy których mi się będzie wydawało, że umieram. Absolutnie nie wątpię, że to byłoby możliwe. To i owo już o nim wiem. Tylko że teraz patrzy mi w oczy inaczej. Teraz widzę w nim jakieś tonie smutnego, bolesnego przywiązania, które przerażają. Nie umiem rozświetlać cudzych mroków. Ja tylko gaszę.

– Kochany… – Odsuwam go delikatnie. – Nie tak się umawialiśmy.

– Już nie wiem, na co my się umawialiśmy, bo ja przy tobie… Ja cię chyba…

– Nie… – Przysłaniam mu dłonią usta, zanim powie coś, z czego nigdy nie wytrzeźwiejemy. – Ja kocham tylko sztukę.

---

[14] *ma fille en or* (fr.) – moja złota dziewczyno

Kup książkę Poleć książkę

Blaise przez chwilę patrzy na mnie, jakby miał żyłkę owiniętą wokół krtani. Skrajnie. A później opada bezradnie na materac tuż przy moim boku. Zamyka oczy. Wzdycha głęboko.

– Tak, Colie. Ja też. Ja też tylko sztukę… – szepcze, sięgając bezsilnie po fajkę.

Spotykają nam się skąpane w odurzeniu spojrzenia i chore dusze. Choćbym chciała, żeby zabolało, to nie czuję nic. We mnie jest tylko głusza. Czy z opium, czy bez. A szkoda. Tym razem szkoda. Bo dla niego byłoby warto zdobyć się na jakieś, choćby niemal bezdźwięczne, tony.

Jakaż głupota serce nazywać ostoją;
Jak piękno, miłość, wszystko rwie się (…)
Często mi przed oczyma ów księżyc ożywa,
Owa cisza i nagłe żale –
ów intymny, choć dźwięczy w nim nuta straszliwa,
Szept prze serca konfesjonale.

*

– My przygotujemy teczki, jak należy, Giroud – mruczy Jacques. – Prostytutki czy nie, będziemy mieli dobre akty. Wiesz, że profesora to nie obchodzi, kogo portretujesz, jeśli obraz jest w porządku. A ty, *noblesse*[15]? Co przywieziesz Cormonowi? Panoramy pocztówkowe? Nudne portreciki studyjne? Imponującą martwą naturę? A może poprosisz jakiegoś niemieckiego przechodnia, żeby się dla ciebie obnażył? – prycha gdzieś pomiędzy słowami, które się z niego leją i leją, i leją. – Rozejrzyj się. To już po tych niemieckich gębach widać, że jesteś na straconej pozycji. – Matthieu chyba chciałby protestować, ale nim zdąży dojść do słowa, Foix kontynuuje: – Jesteś w kraju, w którym szybciej cię zamkną za szerzenie zgorszenia, niż się zgodzą na nagie pozowanie kobiecie. Zejdź na ziemię! Żadna baba nigdy nie przygotuje nic lepszego od nas. Claude namaluje dziwkę, ale namaluje. A ciebie, Giroud, nawet nie przepuszczą przez próg burdelu! Tak właśnie działa świat!

[15] *noblesse* (fr.) – jaśnie pani

Kup książkę Poleć książkę

Jacques kończy tę barwną, emocjonalną tyradę o porządku świata. Może on myśli, że jest Napoleonem? Też taki niski, to by pasowało…

– Nie wiem, co było bardziej męczące: podróż z Paryża czy ten monolog – stwierdzam.

Claude i Matthieu się śmieją, a Jacques bieleje w furii, widząc moją minę. Najwidoczniej przewidywał, że wpadnę w rozpacz i urządzę scenę histerycznej żałości. Ophélie rzuca niedopałek na monachijski bruk i miażdży go z taką siłą, jakby wyobrażała sobie, że to głowa Jacques'a. Patriarchalna paryska mamałyga wgnieciona w obcą ziemię.

– Naprawdę uważasz, Foix, że ty umiesz zrobić lepszy portret niż Colette? – pyta Ophy, w stalowym spojrzeniu której błyska coś niebezpiecznie bliskiego szaleństwu. – A może się założymy?

– O co? – Chłopak odwraca do niej głowę, a po rysach błąka mu się duma skotłowana z kpiną.

– Przygotujecie akty. Po powrocie poprosimy Cormona o ocenę, który jest lepszy. Nie możesz portretować prostytutki, bo to byłoby zbyt proste. Ma być Niemka. Albo Niemiec. Jak tam sobie wolisz – zarządza Ophélie.

– Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że Giroud sportretuje mężczyznę. I też Niemca! Wszyscy wiemy, że Claude jest gotów się dla niej rozebrać nawet tutaj. – Jacques stawia swój warunek, a mnie ciepło uderza do głowy. Pal licho, że męski akt, ale wystarczy się rozejrzeć po przechodniach i ich nadętych, pruderyjnych, świętoszkowatych minach. Trzy miesiące to ja będę szukać modela w tym mieście.

Ophélie patrzy na mnie w niemym, pełnym wojowniczego napięcia oczekiwaniu. I co mam zrobić? Odmówić?! Wtedy przyznam Jacques'owi rację, a on się będzie puszył i pławił w swym męstwie po kres istnienia.

Zgodzić się?! Przez najbliższe trzy miesiące zamiast szykować teczkę, będę ganiała w poszukiwaniu porządkującej świat niemieckiej golizny.

– Zgoda – szepczę. Jacques'owi uśmiech spływa z gęby, jakby ktoś w niego chlusnął niczym w akwarele.

– Niemca będzie malowała?! Tragedia! Nuda! Ja już miałem nadzieję, że wreszcie spełnią się me sny i będę mógł paradować golusieńki przed Colie. No cóż. Kiedyś nadejdzie może i mój dzień… – jęczy Claude i puszcza do mnie słodko oczko. – A o co będzie ten zakład? – Najwyraźniej ta nieoczekiwana propozycja to rozrywka na tyle zajmująca, że Claude jest gotów dokonać ofiary i porzucić nawet burdelowe eskapady dzisiejszej nocy.

Kup książkę Poleć książkę

– Przegrany szoruje sprzęt i pracownię do końca roku akademickiego! – proponuje Ophélie. Jacques wybucha śmiechem, ale kiedy się orientuje, że ona mówi zupełnie poważnie, rozgląda się ogłupiały po pozostałych.

– Naprawdę? Mam myć podłogę i pędzle po Giroud?! Oszalałaś chyba, Fleurmont! Nie jestem jej służącym!

– Skoroś taki pewien przewagi, to czym się martwisz? – Ophélie unosi brew. Serce mi tak wali, że zaraz zemdleję. Co to ma być niby za pomysł?! Przecież jak przegram, a jest to wielce prawdopodobne, to…

– Jacques, jeżeli Cormon oceni lepiej Colie, szorujesz wszystko i naciągasz jej płótna na blejtramy do końca roku. Sam. Bez pomocy! – zarządza przyjaciółka, która chyba właśnie mianowała się moją osobistą marszandką, znającą wszelkie drogi do Luwru. – Ale jeżeli wybierze ciebie, sprzątanie leży po mojej stronie. To ja będę szorowała po tobie, jeśli Colette przegra.

A tego to się już nie spodziewał nikt. Wszystkie zaskoczone spojrzenia wiszą teraz na Ophy. Bo to, że ona miewa szalone pomysły, wiemy doskonale. Bo to, że lubi eksperymenty i ryzyko, wiemy doskonale. Bo to, że nikt jej nie zatrzyma w drodze do narobienia zamieszania, wiemy doskonale. Ale to, że ona jakkolwiek się naraża na służbę mężczyźnie, zakrawa na obłęd!

– Rozum ci odebrało?! – wymyka mi się.

– Wiem, co robię – syczy przez zaciśnięte zęby.

– Ruda, ty upadłaś na głowę?! – Claude przykłada jej dłoń do czoła. – Może ona się pochorowała w tej podróży i uderzyło jej do mózgu?!

– Zabieraj te łapska! – skrzypi Ophy, bijąc go po palcach.

– Chcę jeszcze butlę dobrego wina z Chablis od ojca Colie! – negocjuje stanowczo Foix.

– Zgoda – potakuję.

– Boże, jeszcze nigdy nie wygrałem żadnego zakładu na samym starcie! – prycha Jacques, ściskając wściekle dłoń Ophélie.

Kup książkę Poleć książkę

Kup książkę Poleć książkę


PROGRAM
PARTNERSKI
GRUPY HELION
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ
Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!
Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!
http://program-partnerski.helion.pl
GRUPA
Helion

Mieliśmy być dla siebie panaceum,
a wyszło nam pandemonium…

Jest rok 1906. Początkująca francuska malarka Colette de Giroud otrzymuje szansę wyjazdu na trzymiesięczne stypendium do Monachium. Nareszcie będzie mogła zawalczyć o uznanie i artystyczną wolność w środowisku zdominowanym przez mężczyzn. Napędzana ambicją i kpinami wątpiących kolegów, podejmuje wyzwanie rzucone przez jednego z nich. Kto namaluje lepszy obraz – zwycięży. Dzieło ma przedstawiać męski akt, a pozować do niego musi Niemiec. W świecie, w którym konwenanse i stereotypy grają pierwsze skrzypce, zadanie zapowiada się na niewykonalne.

Podczas jednej z monachijskich wystaw pod obrazem Gustava Klimta zderzają się ze sobą dwa światy – francuska wrażliwość Colette de Giroud i niemiecka logika Ervina Kastnera. Ambitny, ponury, zamknięty w sobie młody chirurg intryguje malarkę. Nie tylko zawodowo.

Niestety.

Miłość to waluta, która w niespokojnych czasach bardzo łatwo doprowadza do ruiny.

Moje dłonie znają doskonale wyznaczoną drogę, a mnie się od zawsze spieszy ku końcowi. Chciałabym się wyprzedzić. Chciałabym przegonić. Ścigam się w moim élan vital, *które jest suche jak wiór. W moich żyłach krąży kurz…*

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-4271-4
cena: 59,90 zł

wydawnictwosploty.pl